



Wszystko zaczyna się wiosną

Marta Alicja Trzeciak



Wszystko
zaczyna się
wiosną

Marta Alicja Trzeciak

Wszystko zaczyna się wiosną



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska
Opracowanie językowe tekstu: Studio Editio
Projekt okładki: designpartners.pl
Zdjęcie na okładce: © konradbak © Iakov ©mjth (Depositphotos.com)
Skład: Studio Editio

Copyright © 2018 Marta Alicja Trzeciak

Copyright © 2018 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2018
ISBN 978-83-65170-24-8



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



WYDAWNICTWO
KOBIECTWO

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiectwo
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

*Dedykuję tę książkę Wandzie,
która bardzo mi pomagała w pisaniu:
najpierw z wnętrza mojego brzucha,
a potem podczas swoich pobudek o czwartej rano.
Kochanie, dzięki Tobie mogłam od razu
zasiąść do pisania, zamiast marnować czas
na bezsensowne leżenie w łóżku ☺*

Część pierwsza

Rozdział pierwszy, w którym rodzi się dziecko

GDYBY TAMTEJ NOCY nie urodził się pewien niezwykle chłopiec, Iga nie ocalałaby setek kobiet z rakiem piersi. Kacper nie zostałby sławnym pisarzem, a Antek – najlepszym szefem kuchni na świecie. A co najważniejsze, cały trud, jaki Miezyńkowie włożyli w wychowanie kolejnych pokoleń dzieci, poszedłby na marne. Bo żadne z nich nie dożyłoby do dziś.

Matka tego niezwykle chłopca – Alicja Szafranek – prowadziła małą księgarnię. Była już w bardzo zaawansowanej ciąży, a nie miała nikogo bliskiego, dlatego kiedy poczuła pierwsze skurcze, udała się na tyły księgarni – do swojego ukochanego działu Baśnie i legendy – by tam przywitać swoje dziecko. Poród trwał bardzo długo i okazał się niezwykle męczący. Alicja urodziła pięknego, zdrowego chłopca, ale sama miała nie dość sił, by przeżyć. Rankiem następnego dnia odnaleziono ją zimną i sztywną. Była zupełnie naga, a na jej piersi leżał niezwykle spokojny noworodek. Zawinięty w to, co jego matka znalazła pod ręką – w ogromne płachty papieru wyrwane z wielkiego tomiska *Najpiękniejsze baśnie*. Ten urodzony między legendami, otulony w baśnie chłopiec już zawsze miał

czuć, że jego życie jest zupełnie niezwykle i że czeka go jakiś niejasny cel, który koniecznie musi zrealizować.

„Ma na imię Baltazar i nosi nazwisko po swojej matce” – głosił napis nagryzmołony na karcie baśni, w którą zawinięto dziecko. To jedyna wiadomość, jaką zostawiła po sobie jego matka. A przynajmniej jedyna fizyczna i namacalna, bo przecież Stefa twierdziła, że Alicja Szafranek zapewne wciąż wysyłała mu z zaświatów matczyne przestrogi i słowa miłości. No właśnie. Stefa.

Malutki Baltazar Szafranek trafił do domu Stefy Miezynek po serii procedur. Chłopca znaleziono na piersi matki, która od kilku godzin nie żyła. Mimo to noworodek był w dobrej kondycji – ciepłutki, tłuściutki i spokojny. Kiedy na miejscu zjawiała się karetka, mały Baltazar spokojnie spał. Chłopca zawieziono do szpitala, gdzie przeszedł serię badań. Dostał dzieść punktów, ważył cztery i pół kilo. Zdawał się silny, zdrowy, choć bardzo cichy. W ogóle nie płakał. Przebywał krótko w pogotowiu opiekuńczym, ale musiał czym prędzej trafić do normalnego domu, dlatego sąd rodzinny w trybie pilnym wydał decyzję o umieszczeniu chłopca w zaufanym, znanym z bardzo dobrej opinii rodzinnym domu dziecka prowadzonym przez państwa Miezyneków.

W domu tym Baltazar miał oczekiwać, aż zostanie wszczęta procedura adopcyjna, aż jakieś młode małżeństwo zainteresuje się noworodkiem i zechce zaopiekować się nim jak własnym dzieckiem. Ale ku zdziwieniu Miezyneków, sędziego, kuratora rodzinnego i wszystkich osób zaangażowanych zazwyczaj w adopcję nikt się nie zjawił, by wziąć do siebie Baltazara. Sprawa była dziwna. Jak mawiał sędzia, adopcja starszych dzieci graniczy z cudem, ale noworodki rozchodzą się jak ciepłe bułeczki (Stefa nienawidziła tego sformułowania). Tym razem tak się jednak nie stało. Baltazar nie rozszedł się jak ciepła bułeczka. Może dlatego, że działa się to u schyłku

komuny – w późnych latach osiemdziesiątych; czasach dziwnych, niepewnych, pełnych zmian. Może to ze względu na wyż demograficzny, który wówczas utrzymywał się jeszcze w kraju. A może Baltazarowi po prostu nie było pisane wychowywać się gdzie indziej niż w domu Miezyńków.

Toteż tamtej wiosny zjawił się w pięciopokojowym mieszkaniu przy ulicy Leopolda Staffa osiemnaście przez dwa. I to właśnie wtedy zaczęła się historia chłopca. „Wszystko zawsze zaczyna się wiosną i zawsze kończy się zimą” – miał zauważyć Baltazar wiele lat później. „Tak już jest skonstruowany ten świat”.

Mieszkanie Miezyńków znajdowało się w solidnej, poniemieckiej kamienicy przeznaczonej dla sześciu rodzin – po dwie rodziny na piętro (plus Cyganie notorycznie pomieszkujący na strychu). Rodzinny dom dziecka mieszczący się w jednym z tych mieszkań był prowadzony przez Stefę oraz jej męża – Witka. Państwo Miezyńkowie mieli dwóch własnych synów, zaś w momencie, w którym Baltazar zjawił się w ich domu, mieszkała tam jeszcze trójka innych wychowanków. Razem z Baltazarem – szóstka dzieciaków.

Pozostali podopieczni Miezyńków często tłumaczyli Baltazarowi, że miał wielkiego fuksa, bo trafił do Stefy w tak młodym wieku, że nie pamiętał swoich rodziców. Dlaczego tak mówili? O tym później. Grunt, że mieli rację. Z bardzo wczesnego dzieciństwa Baltazar pamiętał tylko Stefę i jeśli w ogóle da się wyodrębnić coś, co nazywa się pierwszym wspomnieniem, to dla chłopca z całą pewnością byłyby to jej ręce. Miała ona duże, choć niemasywne dłonie. Długie, chude palce sprawiały wrażenie nadspodziewanie silnych – jak i cała Stefa. Dłonie te zawsze pachniały jarzynami na zupe lub szarym mydłem, wyszorowane na błysk prezentowały króciutko przycięte paznokcie. Palce Stefy ozdobiła tylko jedna, cieniuteńka obrączka ze złota. Baltazar – również później – często mawiał, że o człowieku

wystarczy wiedzieć tylko jedno – jakie ma dłonie. One mówią o nim całą prawdę i zdradzają resztę jego fizjonomii. Sprawdzało się to również w przypadku Stefy. Zawsze pachniała kuchnią lub mydłem, była zdrowa, żyłasta i pozbawiona wszelkich zbędnych dodatków. Gdy Baltazar zjawił się w jej domu, miała już pięćdziesiąt lat, ale nie wyglądała na swój wiek. Nosiła krótko, do granicy brody, przycięte włosy. Wiązała je na ogół, żeby nie przeszkadzały jej w pracy. Na nosie zwykła nosić okulary, których potrzebowała tylko do czynności wymagających precyzji, ale Stefie nie opłacało się ich ściągać. Opłacało jej się za to spuszczać je na sam koniec nosa i spoglądać srogo na któregoś z dzieciaków, gdy był o krok od kłamstwa lub gdy właśnie miał zrobić coś głupiego. Nie rozstawiała się ze swoim fartuchem kuchennym, który dostała kiedyś w prezencie od jednego z wychowanków. Na materiale naszyto dość nieudolnie zieloną gruszkę oraz czerwone jabłko, a nad nimi widniał wiele mówiący napis: „Stefa”. Z wykształcenia była położną, ale od dawna już nie pracowała w zawodzie.

Niewiele więcej można powiedzieć o Stefie, bo i ona sama niewiele mówiła o sobie. Gdy któryś z dzieciaków zapytał ją o młodość, miłość czy dzieciństwo, machała zawsze ręką i mówiła: „Aj tam!” albo „Nie mam czasu na takie bzdety”. Bo może i faktycznie nie miała. Codziennie wstawiała o szóstej i kładła się o północy. Świątek, piątek czy niedziela gotowała na każdy dzień dwa litry zupy (ewentualnie co drugi dzień cztery). Na obiad przygotowywała tuzin kotletów mielonych i dwa kilogramy ziemniaków albo lepiła pół setki pierogów ruskich. Mizeria z kilograma ogórków i dwóch śmietan (zawsze osiemnastek). Kompot ze śliwek – dwa litry. Na śniadanie i kolację łącznie czterdzieści bułek lub cztery chleby. I tak dalej.

Stefa gotowała bardzo dobrze, a porządne jedzenie było jej jedynym przykazaniem wobec dzieci. *Porządne* nie znaczy *obfite*. *Porządne* znaczy to, co sobie nałożysz na talerz i zjesz

o przyzwoitych porach – czyli razem ze wszystkimi, gdy jest czas posiłku – a nie latanie do lodówki, kiedy ci się nudzi. Nie było trudno sprostać tym wymaganiom, zwłaszcza że jedzenie wszystkim smakowało i każdemu dopisywał apetyt (może tylko nie Markowi). Ale gotowanie Stefy miało też mroczną stronę.

Przyrządzała kilka specjałów, które budziły postrach. Niekwestionowanym liderem w tej kategorii był oczywiście syrop z cebuli trzymany przez Stefę w wielkim, litrowym słoiku na najwyższej półce w spiżarni. W składzie tego przerażającego specyfiku znajdował się poza cebulą i czosnkiem również miód, którego nikt jednak nie wyczuwał w tej zabójczej mieszance.

Baltazar doskonale pamiętał ów syrop – podobnie jak pamiętały go wszystkie dzieciaki wychowujące się w domu Miezyńków. Za każdym razem, gdy któryś z podopiecznych zachorował (a przytrafiało się to najczęściej Markowi) lub gdy zdaniem Stefy był osłabiony (co również zdarzało się głównie wspomnianemu wychowankowi), rozpoczynała się istna rzeź niewiniątek. Każde dziecko miało obowiązek spożyć łyżkę syropu na wzmocnienie. Najlepiej było po prostu zamknąć oczy, zatkać nos i poddać się wyrokowi, bo Stefa w tej kwestii nie odpuszczała i gdy sytuacja tego wymagała, ganiała delikwenta po całym mieszkaniu ze słoikiem w jednej ręce i łyżką w drugiej. W tamtych czasach jedyną osobą, która nie godziła się na dobrowolne spożycie syropu, była Iga i to właśnie ona przyczyniła się pewnego dnia do tego, że Baltazar odkrył pierwszy ze swoich trzech niezwykłych darów. A oto, jak do tego doszło.

Baltazar miał tego pecha, że mieszkał w pokoju razem z Markiem. Mieszkanie Miezyńków składało się – jak już ustaliliśmy – z pięciu pokoi. Wchodziło się do nich wszystkich z korytarza czy też z przedpokoju, który miał kształt litery L i prowadził od drzwi wejściowych aż do kuchni – zawsze otwartej i nieposiadającej drzwi. Najbliżej wejścia do mieszkania znajdował się tak zwany pokój starszych chłopców, dalej

pokój młodszych chłopców, a za nim była położona sypialnia Stefy oraz Witka, która stanowiła salon, jadalnię i bawialnię jednocześnie. W głębi mieściły się dwa najmniejsze pokoiki pozbawione nazwy. W jednym z nich mieszkał w tamtym czasie Filip – najstarszy z wychowanków, który już niebawem miał się wyprowadzić na swoje – w drugim pokoiku spała zaś Iga – jedyna dziewczyna wśród podopiecznych. Zameldowanie w pokojach było względnie stałe, ale podlegało pewnym modyfikacjom, które uzależniono głównie od etapu rozwoju i płci dzieciaków, a także od pojawienia się w domu nowych ewentualnych wychowanków.

Gdy Baltazar po raz pierwszy pojął, że ma wyjątkowy dar, najmłodszymi chłopcami w rodzinie byli właśnie on i Marek. Dlatego mieszkali razem. Baltazar miał wtedy sześć lat, a Marek osiem, choć – zdaniem reszty dzieciaków – zachowywał się, jakby był młodszy o co najmniej trzy lata.

Marek bardzo chorował. Nigdy nie cierpiał na poważne schorzenia, ale Stefa twierdziła, że jest podatny. Dlatego tylko on łapał zapalenie oskrzeli, mimo że wszyscy pozostali skakali po kałużach aż do całkowitego przemoczenia butów. Dlatego tylko on przynosił z zerówki wszy, ze szkoły grypę, a z basenu grzybicę.

Tamtej wiosny Marek złapał katar, który przeszedł w zapalenie krtani, co z kolei przeistoczyło się w zapalenie oskrzeli. Wszystkie te nazwy anatomiczne brzmiały dla dzieciaków egzotycznie, ale były fascynujące i dlatego często je powtarzały. Domowe sposoby Stefy na nic się nie zdały – Marek wciąż gorączkował i polegiwał w łóżku. Doszło do tego, że Stefa – mimo swojej wielkiej krucjaty przeciwko antybiotykom – zgodziła się z radą lekarza i przystała na terapię. Za każdym razem, gdy przychodziła do Marka wręczyć mu dawkę leku, spoglądała jednak na opakowanie tak, jakby nie stanowiło blistra antybiotyku, lecz zabójczy pestycyd – najpewniej DDT, które od

tej pory zacznie krążyć nie tylko w ustroju nieszczęsnego Marka, ale również w całym łańcuchu pokarmowym od planktonu począwszy, a na lisie, wilku i niedźwiedziu skończywszy.

Pomimo tej zaawansowanej terapii Stefa wciąż czuła, że nie robi wystarczająco wiele, by skutecznie wyleczyć Marka. W tamtych czasach nie mówiło się jeszcze o medycynie alternatywnej czy naturalnej. Istniał jedynie podział na to, czym leczył lekarz, i na to, czym kurowały wszystkie matki, babki oraz sąsiadki. I właśnie w tej drugiej metodzie terapeutycznej Stefa pokładała większą wiarę. Dlatego na potrzeby Marka i jego choroby została wezwana do domu niejaka pani Strugała. Była to sąsiadka Miezyńków z najwyższego, drugiego piętra (czyli z trzeciej kondygnacji). Mieszkała tuż pod tym miejscem strychu, które bardzo chętnie zasiedlali Cyganie. Miała w domu pięć kotów rezydentów i dodatkowo trzy dochodzące z dachu, które u niej nie nocowały, lecz jadały rosół, który im wlewała do opakowań po margarynie. Ale do rzeczy.

Pani Strugała stawiała bańki. I to właśnie dlatego została wtedy wezwana do domu Miezyńków. Bańki oczywiście nie były ani niczym bolesnym, ani nawet nieprzyjemnym, ale we wszystkich młodszych dzieciach budziły panikę. Wynikało to naturalnie ze sposobu ich przygotowywania. Pani Strugała przynosiła swoją specjalną torbę, wyciągała z niej dziewięć czy dwanaście szklanych kloszyków, podpałała tak zwany ogieniek i kręciła nim w środku przezroczystych, kopułowatych baniek. Rozgrzaną bańkę przykładła do pleców dziecka i dochodziło do magicznego procesu, w którym skóra nieszczęśnika zasyssa się do środka i nabierała koloru zdrowej wiśni.

Ustrojony w bańki niczym jeż Marek leżał tego dnia na brzuchu i czekał, aż jego wyrok się wreszcie dokona i odeszła mu szklane kopuły z pleców. Drzwi od pokoju zamknięto, a na twarzach zarówno Stefy, jak pani Strugały malowało się skupienie. Tylko Baltazarowi pozwolono uczestniczyć w tym procesie

i to jedynie ze względu na to, że mieszkał razem z Markiem i musiał zrozumieć powagę sytuacji. Bo bańki to była poważna sprawa. Najświętsza zasada po wykonaniu bańkowego zabiegu stanowiła, że baniek nie wolno przewiać. Choćby nie wiem co, choćby się świat zawalił albo choćby tornado zerwało dach domu Miezyńków, nie wolno było odkryć pleców Marka, żeby nie przewiać i nie zaziębić baniek.

Z tego względu Baltazar otrzymał od Stefy i od pani Strugały jasne instrukcje. Żadnego otwierania okna. Żadnego przeciągu. Drzwi od pokoju za każdym razem zamykać. Pomieszczenie ma prawo wietrzyć jedynie Stefa i to tylko zgodnie z ustaloną przez siebie procedurą.

– Szafranku, to jest bardzo ważne – powiedziała Stefa, patrząc na niego spod okularów. Wszyscy zwracali się do Baltazara po nazwisku, ponieważ uważali, że jego imię jest dziwaczne i jakoś niewygodnie im się je wymawiało. Jedna tylko Iga mówiła do niego per Bubu. Był to idiotyczny pseudonim i Baltazar nikomu innemu nie pozwoliłby, żeby tak do niego wołał. Ale Iga miała szczególne względy, o czym później.

– Czy rozumiesz? – Stefa chciała się upewnić.

Oczywiście, rozumiał.

Bańki Marka wymagały od Baltazara nie tylko nadzwyczajnej jak na sześciolatka dbałości o kwestie wietrzenia, temperatury, otwierania drzwi i tak dalej. Choroba współłokatora nakładała na Baltazara jeszcze jeden przykry obowiązek. Mianowicie musiał spożywać podwójną dawkę syropu z cebuli, ponieważ mieszkając z osobą chorującą, potrzebował podwójnego wzmocnienia.

To właśnie dlatego tamtego dnia, gdy Baltazar miał odkryć swój niezwykły dar, Iga skryła się nie gdzie indziej, lecz właśnie w pokoju najmłodszych chłopców.

– Najciemniej pod latarnią – powiedziała, wskazując na niemrawego Marka spoczywającego w łóżku.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Kolejowa 12B/12

15-701 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059